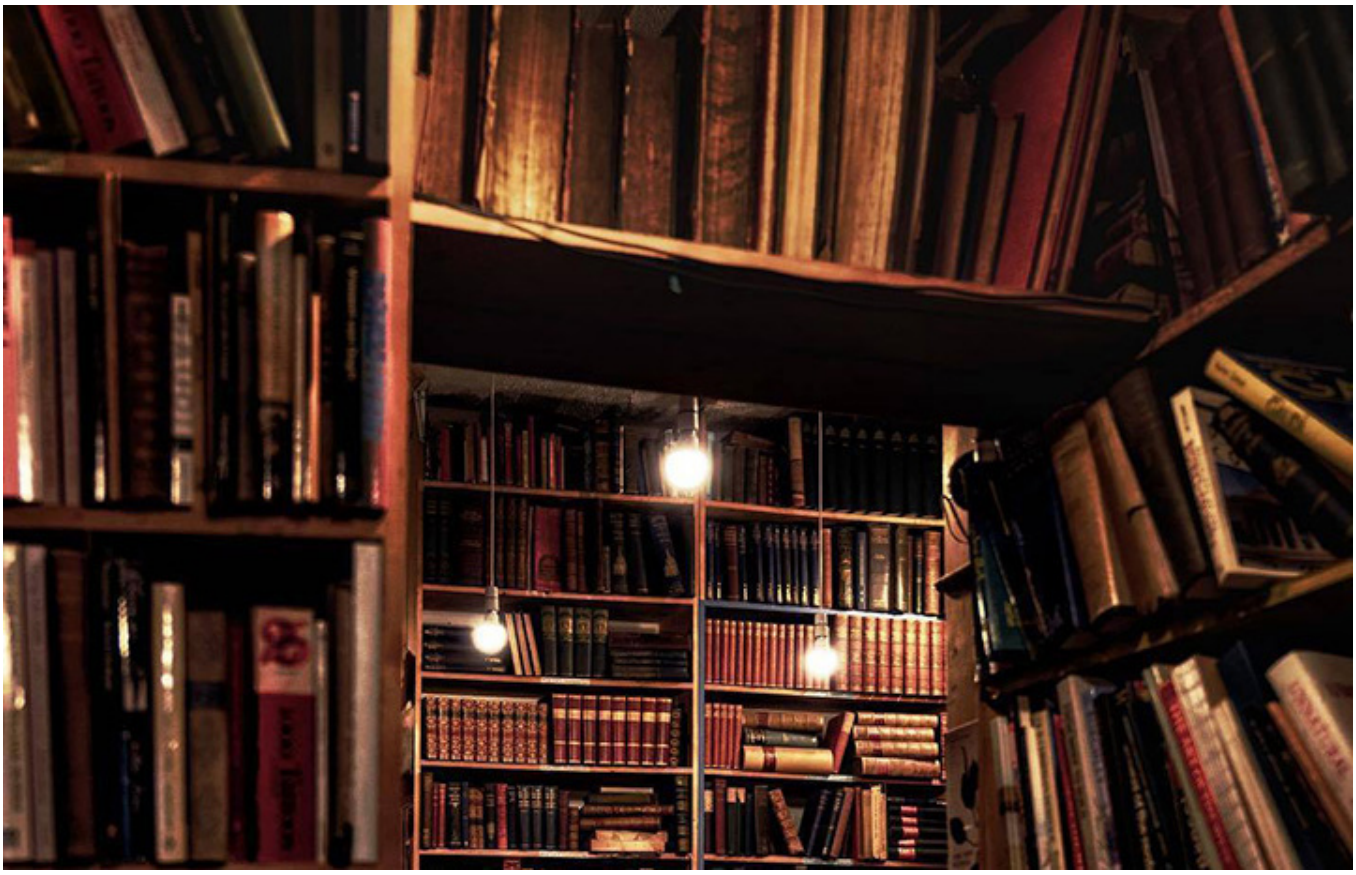
# Literackie migawki



**Florian Śmieja** *(Mississauga, Canada)*

Życie składa się z łańcucha epizodów, wydarzeń, spotkań, które bywają ciekawe lub monotonne, udane i mniej wydarzone, godne pamięci i zasługujące na zapomnienie. Do jednych się chętnie przyznajemy, drugie puszczamy w niepamięć. Żałujemy że nam

się przydarzyły, wolelibyśmy, aby ich nie było. Jeszcze po latach pozostają ślady, niby migawki z licho pamiętanego filmu. Każdy z nas ma ich inny zestaw zależnie od losu, czasu, sytuacji. Ich ewokacje zaspakajają nostalgiczne ciągotki, ale i wywołują zadumę nad zdumiewającym kalejdoskopem minionego...

***

Uniwersytety w Polsce prześcigają się, by zasłużonym ludziom pióra przyznawać wielokrotne tytuły doktora *honoris causa*, a żaden z nich nie odważył się nadać go Zbigniewowi Herbertowi, którego dziś bardziej wyróżnia brak tego honoru.

***

Gombrowicz w swoim "Dzienniku" napomknął, że go źle czytam. Widocznie uważał, że powinienem obrać inną metodę. Zrobię to, jak czas pozwoli. Pisał do mnie w sprawie tłumacza, który by potrafił przekładać jego teksty na język hiszpański. Próbowałem mu pomóc, ale nie wiem, czy ostatecznie z moich sugestii skorzystał.

***

Stanisław Lem (1921-2006) to najczęściej tłumaczony pisarz polski. Zapamiętam jego uprzejmość. Kiedy przed laty nie udało

mi się z nim umówić w czasie mojego pobytu w Krakowie, przyjechał po mnie swoim samochodem i w drodze na swoje wykłady podwiózł mnie ze studenckiego bratniaka na peryferiach miasta do centrum.

***

Wymieniając kiedyś współczesnych polskich prozaików, którzy równocześnie byli autorami dobrych wierszy, otrzymałem list od Józefa Wittlina z Nowego Jorku, bym o nim nie zapomniał, bo i on należał do tej kategorii. Nie tylko o nim pamiętałem, ale nawet odwiedziłem jeszcze, znalazłszy się na amerykańskim kontynencie.

---

# Wierzę w ciężką

# pracę

**Rozmowa z Philippe Tłokińskim, odtwórcą roli Jan Nowaka-Jeziorańskiego w filmie „Kurier”.**



Philippe Tłokiński, fot. Agencja „Studio Gama”.

**Bożena U. Zaremba:**

**„Kurier” traktuje o jednym z najbardziej tragicznych wydarzeń polskiej historii, Powstaniu Warszawskim, ale film nie do końca jest na serio – to trochę połączenie Jamesa Bonda i Indiana Jones’a.**

**Philippe Tłokiński:**

Pierwszy raz spotkałem się z porównaniem do Indiana Jones'a [*śmiech*]. Jeżeli chodzi o temat poruszony w filmie, to rzeczywiście dotyka on ważnych wydarzeń z historii Polski. Z drugiej strony „Kurier" nie opowiada o Powstaniu Warszawskim. Traktuje raczej o jego kulisach. Znamy zakończenie tej historii, ale zawsze pozostanie pytanie, czy decyzja o podjęciu powstania była słuszna. Mimo powagi tematu, twórcy chcieli zrobić kino atrakcyjne.

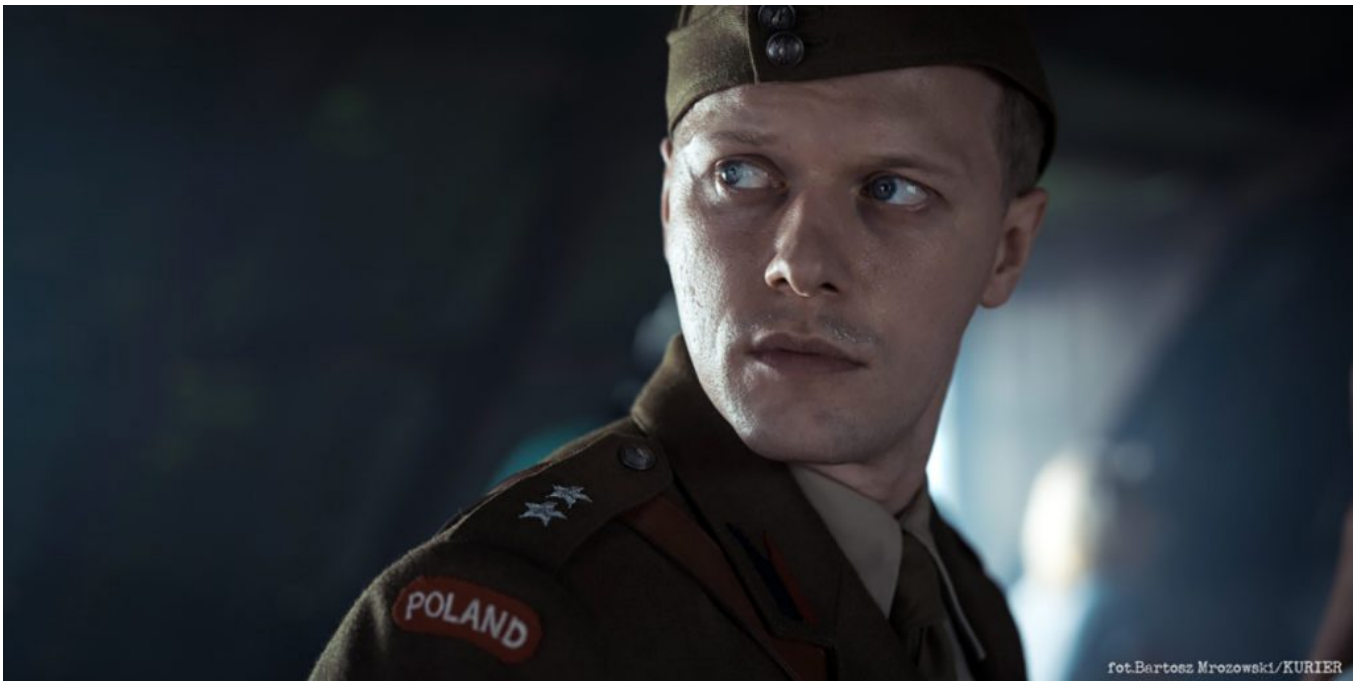
**Jak doszło do tego, że zagrał Pan w tym filmie?**

Zostałem zaproszony na casting, który miał kilka etapów. Konkurencja była duża. W końcu dostałem propozycję. Lubię swój zawód i długo nie odmawiałem ról, również w kinie studyjnym, artystycznym. Liczyło się zdobywanie doświadczenia. Dzięki temu trafiłem na plan „Nocy Walpurgii" Marcina Bortkiewicza – bardzo ważnej produkcji w mojej karierze. Na początku pracowaliśmy właściwe za darmo, zależało nam na tym projekcie. Dopiero potem dostaliśmy dofinansowanie. „Kurier" to była wspaniała rola i to pod okiem mistrza kina polskiego.

**Co Pana pociągało w postaci głównego bohatera?**

Przed rozpoczęciem filmu mało znałem Jana Nowaka-

Jeziorańskiego, zresztą podejrzewam, jak większość Polaków. Na castingu musiałem przygotować długie monologi, w tym ten wypowiadany w komendzie głównej AK. Nie były one wcale łatwe do zagrania, ale ten materiał bardzo mi się spodobał. Kiedy wiedziałem już, że zagram w „Kurierze", zgromadziłem mnóstwo książek dotyczących nie tylko samego Nowaka-Jeziorańskiego, ale i czasów, w których żył.



Kadr z filmu „Kurier", fot. Bartosz Mrozowski.

**Urodził się Pan we Francji. Na ile, więc znana była Panu historia i kultura Polski?**

Rodzice są Polakami, w domu rozmawialiśmy po polsku. Podczas, gdy wszyscy moi znajomi jeździli na wakacje do Włoch, my spędzaliśmy je w Polsce. W Genewie, gdzie mieszkaliśmy, jest

duża społeczność polska, istnieje polski kościół, wokół którego ludzie się gromadzą. Styczność z kazaniem podczas mszy, spotkania z Polakami, umożliwiły mi kontakt z tradycją, kulturą i językiem, który jest kluczem do wszystkiego.

**Co zadecydowało o pójściu w kierunku aktorstwa?**

To był pewien proces, który dział się krok po kroku. Nie wiedziałem od dziecka, co chcę robić w życiu. Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, bo mam, wobec tego, co się stało dużo pokory, ale to nie ja wybrałem teatr, tylko teatr mnie wybrał. Lubiłem zajęcia z teatru, dobrze mi na nich szło. Pomyślałem wtedy – dlaczego nie scena. Mój ojciec, z kolei, był zawodowym piłkarzem i podobną karierę wymarzył sobie dla mnie. Ja sam rozważałem przez chwilę zdawanie na prawo. Tyle, że jak znajomi mnie pytali, co mi się podoba w zawodzie prawnika, okazywało się, że to, co mnie najbardziej pociąga to retoryka, krasomówstwo i publiczne wystąpienie. I mówili mi wtedy: „Ty nie chcesz zostać prawnikiem, ty chcesz być aktorem" [*śmiech*]. Kiedyś nieśmiało zapytałem profesora, który prowadził zajęcia z teatru, co powinienem wybrać. I on odpowiedział mi, że jego zdaniem byłbym kompletnym głupcem, gdybym nie został aktorem, po czym wyszedł, teatralnie trzaskając drzwiami [*śmiech*]. Dodało mi to odwagi, żeby w końcu odpowiedzieć sobie na pytanie, czego chcę. Profesor był dla mnie takim duchowym ojcem. Mojemu tacie nie udało się

pomóc mi w kwestii znalezienia drogi życiowej, ale udało mu się coś innego – odpuścić, porzucić własne ambicje, zrozumieć mnie i wesprzeć.

**Jednym z wiodących tematów filmu „Kurier” jest kwestia wyboru.**

W pewnym sensie. Główny bohater dostaje rozkaz, z którym się nie zgadza. Kreuje sobie antytezę i dąży do celu, żeby realizować ten drugi scenariusz. Ta sytuacja pokazuje zresztą, jak skłócona była wtedy władza. Później, kiedy Nowak-Jeziorański spotyka młodych ludzi już uzbrojonych i orientuje się, że powstania nie da się zatrzymać, dochodzi do wniosku, że trzeba się poddać losowi i na spotkaniu z dowódcami AK wypowiada opinię, która tak naprawdę zgadza się z tym pierwszym rozkazem. Ta opinia jest „post-powstańcza”, to znaczy ten dialog nie miał historycznie nigdy miejsca w takiej formie, to już jest powiedziane z perspektywy. Ale merytorycznie wszystko się zgadza.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

**To bardzo dojrzała wypowiedź.**

Bo jest prorocza. Stanowi odzwierciedlenie tego, co Jan Nowak-Jeziorański napisze w przyszłości. Film tak naprawdę nie broni decyzji o rozpoczęciu powstania, ale pokazuje w jakim duchu została ona podjęta. Bardzo lubię ostatnie ujęcie filmu, kiedy rozpoczyna się powstanie, odwracam się do Partycji Volny i z jakimś żalem pytam: „Idziemy?” I potem wszyscy biegną do światła. Światło oznacza śmierć. I tam nie ma zaskoczenia, bo przecież znamy historię, wiemy, jaki przebieg miało powstanie. Historii nie możemy zmienić, ale możemy ją zrozumieć i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Dzisiaj z perspektywy czasu łatwo powiedzieć, że Powstanie Warszawskie było błędem, bo zginęło tysiące ludzi, a Warszawa została kompletnie zniszczona, ale przecież nikt się tego nie spodziewał.

**Co według Pana może w tym filmie przemówić do widza zagranicznego?**

Film ten ma być przede wszystkim dobrą przygodą, rozrywką, z elementami kina akcji czy kina szpiegowskiego. Wspomniała Pani o Indiana Jonesie. To jest według mnie dobre porównanie, bo w „Kurierze” jest dużo lekkich scen, robionych z dużym poczuciem humoru. Jest też wiele wymyślonych epizodów, jak na przykład wątek związany z agentką Doris.




Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

**Właśnie jej postać bardzo mi przypominała postać Elsy Schneider z trzeciej części „Indiana Jones”, nawet fizycznie aktorki są bardzo podobne i rozwój tego wątku jest podobny, chociaż nie zdradzajmy tutaj, jak się rozwinie.**

Wątek ten został specjalnie wymyślony, dla urozmaicenia fabuły. Reasumując – jest to kino dynamiczne, a przy okazji widz może nauczyć się czegoś na temat historii Polski. „Kurier” spełnia więc dwie podstawowe funkcje kultury: dostarcza rozrywkę i edukuje.

**W następnym filmie z Pana udziałem wciela się Pan w postać innego sławnego Polaka, matematyka Stanisława Ulama, który między innymi brał udział w tworzeniu broni**

**nuklearnej w USA. Czy może Pan coś powiedzieć już bliższego na temat tego filmu?**

Jeszcze nie widziałem końcowej wersji filmu, więc mogę go ocenić jedynie na podstawie tego, co przeżyłem na planie. Ten film ma w sobie ogromny potencjał.  Jest to kino artystyczne, autorskie, podobne w konwencji do „Pięknego umysłu". Wszechobecna w tym filmie bomba wodorowa jest elementem budującym napięcie, zgodnie z powiedzeniem, że bez konfliktu nie ma teatru. To najbardziej potworna broń, jaką człowiek stworzył i to jest przerażające, że jednym przyciśnięciem czerwonego guzika może rozwalić cały świat. A paradoks całej tej sytuacji polega na tym, że od wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie i Nagasaki do dzisiaj nie było incydentu z bronią nuklearną, że dzięki temu utrzymuje się na świecie pokój, bo wiadomo, że użycie broni wodorowej oznaczałoby koniec naszej cywilizacji.

**Czy Profesor Ulam miał w związku z tym jakieś rozterki moralne?**

Tak, oczywiście. Hiroszima dla twórców bomby była szokiem, nie mogli pogodzić się z tym, że ich wynalazek został wykorzystany w tak okrutny sposób. A potem kazano im wymyślić broń o jeszcze większej mocy. I Ulam stanął przed dylematem, czy dzielić się wynikami swoich badań.



Kadr z filmu o matematyku Stanisławie Ulamie, fot. Jiri Vurma.

**Obraca się Pan ciągle w tematach historycznych. Ostatnio zagrał Pan jeszcze – w Teatrze Telewizji – postać Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.**

Ta sztuka oparta jest na jego powieści o gułagu „Inny świat". Temat mroczny – brud, głód i przemoc. Ale moje kolejne filmy nie będą już produkcjami historycznymi. Wracam do współczesności.

**Włada Pan biegle trzema językami: francuskim, polskim i angielskim**…

…jeszcze znam włoski.

**Popyt na takich aktorów, jak Pan, powinien być, więc spory.**

Znajomość języków daje mi przewagę [*śmiech*]. Jak nie we Francji, to w Polsce, jak nie w Polsce, to w Szwajcarii. Praca aktora jest nieregularna – czasem człowiek jest bardzo zajęty, a potem następuje długa przerwa. Nie patrzę na to, czy rola jest mała czy duża – chcę, żeby zawsze była dla mnie jakimś wyzwaniem, albo chociaż przyjemnością. Wychodzę z założenia, że jak film jest udany to ludzie pójdą go zobaczyć, a jak nie, to jest on dla mnie dobrym doświadczeniem. Jest jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: ja nie wierzę w talent, wierzę w ciężką pracę. Jak nie pracujesz nad sobą, to nic z tym talentem nie zrobisz. Nigdy nie słyszałem o talencie, który został zniszczony pracą.

**Ale talent może mieć różne barwy, nie tylko musi oznaczać umiejętność szybkiego przyswojenie sobie tekstu. Można mieć także na przykład talent do pracy, do analizy czy determinacji. W tym kontekście, w czym leży Pana talent?**

Myślę, że jest to właśnie talent do pracy. Bardzo dużo czasu spędzam na uczeniu się tekstu, na przygotowywaniu się do castingu czy jakiejś roli. To jest oczywisty element bycia aktorem, tak jak dla pianisty spędzanie dziesięciu godzin dziennie na ćwiczeniu. Ja to uwielbiam.

**A ćwiczenie też może być pracą twórczą?**

Na tym to polega. Występ jest jedynie końcowym rezultatem tej wielogodzinnej, twórczej pracy. Przy moim zawodzie istotne też jest spotkanie właściwych osób we właściwym momencie i wdzięczność za to, że ktoś dał Ci szansę. Całe moje działanie opiera się na wierze w pracę i w to, że będzie dobrze. Jak miałem okres posuchy, nadzieja była dla mnie bardzo ważna. Propozycja roli zawsze się w końcu pojawia.




„”Kurier” w reż. Władysława Pasikowskiego, obsada: Philippe Tłokiński, Julie Engelbrecht, Patrycja Volny, Jan Frycz, Rafał Królikowski, Cezary Pazura, Adam Woronowicz.

## Film będzie pokazywany podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin oraz Festiwalu Polskich Filmów w Miami na Florydzie:

https://www.austinpolishfilm.com/

https://www.pffmiami.com/

# I Believe in Hard Work

**Interview with Philippe Tłokiński, who plays the lead role of Jan Nowak-Jeziorański in *The Messenger***

**By Bożena U. Zaremba**

***The Messenger* is about one of the most tragic events in Poland's history, the Warsaw Uprising of 1944.[1] Still, the movie is more on the entertaining than the somber side, kind of a combination of James Bond and Indiana Jones.**

It’s the first time I have heard the comparison with Jones [*laughs*]. As for the subject matter, the film indeed touches on an important chapter of Polish history. On the other hand, *The Messenger* does not depict the Warsaw Uprising itself but rather its background. We know how the story ended, but a question will always remain whether the decision to start the Uprising was right. Despite the gravity of the subject, the goal of the movie was to entertain.

**How did you end up being cast in the film?**

I was invited to casting, which had several stages. The competition was tough. Eventually, I was offered the role. I like what I do, and for a long time, I did not reject any offer, including independent, artistic movies. What mattered to me was gaining experience. Thanks to this approach, I got the lead role in Marcin Bartkiewicz’s film *Walpurgis Night*, which was significant for my career. In the beginning, we practically worked for free—we cared about this project so much—and it was only after some time that we got funding. Playing in *The Messenger* was fantastic, not to mention that it was under the masterly direction of Władysław Pasikowski.

**What attracted you to the main character?**

Before we started shooting the movie, I knew very little about

Jana Nowak-Jeziorański, just like most Poles, I guess. For the casting, I had to prepare long monologues, including the one delivered at the Home Army headquarters. They were not easy to play, but I loved the script. Once I knew I got the role in *The Messenger*, I surrounded myself with lots of books, not just about Nowak-Jeziorański but also about his times.

**You were born in France. How much did you know about Poland's history and culture?**

My parents are Polish, and, at home, we spoke Polish. While all my friends took a vacation in Italy, we always spent it in Poland. In Geneva, where we lived, there is a sizeable Polish community and a Polish church, where people gather. My contact with the homily in Polish and the interaction with Poles gave me a chance to learn the traditions, culture, and language, which is the key to everything.

**How did you decide to go into acting?**

It was a process; it happened one step at a time. As a child, I did not know what I wanted to do in life. I don't want this to sound pretentious, because I am very humble about what eventually happened, but it wasn't me who made a choice—it was the theater that chose me. I always loved drama classes and was good at acting, and the thought of going into acting did cross my

mind. My father, on the other hand, was a professional soccer player, and it was his dream for me to follow in his footsteps. Then, for a while, I considered being a lawyer. Still, whenever my friends asked me what I liked about this profession, it turned out that things which appealed to me most were rhetoric, oratory, and public speaking. They would tell me, "You don't want to be a lawyer; you want to be an actor" [*laughs*]. I timidly asked my drama teacher what I should choose. He told me I would be a complete fool if I did not become an actor, after which he left, theatrically slamming the door [*laughs*]. It encouraged me to—finally—answer the question what I wanted. This professor was my mentor. My father, on the other hand, even though he did not succeed in helping me choose my professional path, did something else—he gave in and abandoned his ambition. He also managed to come into understanding of what I wanted and supported me in my decision.

**Making a choice is one of the main motifs of *The Messenger*.**

You could say that. The main character receives an order he strongly disagrees with. He creates an alternative proposition and does everything in his power to realize the second scenario. By the way, it shows the enormous divisions among the Polish authorities. Later, when Nowak-Jeziorański meets with young

people who are already armed and recognizes that the Uprising cannot be stopped, he realizes that it is necessary to accept fate. At the meeting with the Home Army leadership, he expresses the opinion which is in accord with the initial order. This is a "post-uprising" opinion. The conversation never took place in this form—it is articulated from a specific, historical perspective. The content, though, is faithful.

**This opinion is very mature.**

Because it is prophetic. It is a reflection of what Jan Nowak-Jeziorański would write years later. The movie does not defend the decision to start the Uprising but shows in what spirit it was made. I especially like the last scene of the film, when the Uprising begins: I turn to Patricia Volny and, with a sort of regret, ask, "We're going?" Then, everybody runs to the light. The light means death. There is no surprise there because everyone knows history; everyone knows the outcome of the Uprising. We cannot change history, but we can try to understand it and draw conclusions. Today, from the perspective of all those years, it is easy to say that the Warsaw Uprising was a mistake—thousands of people died and the city was totally destroyed, but nobody could have predicted that.

**What can appeal to non-Polish viewers?**

This movie is supposed to be, first of all, an exciting, entertaining adventure, with elements of an action or detective movie. You mentioned the movie *Indiana Jones*. It is a good comparison because *The Messenger* has a lot of light-weight scenes, shot with a great sense of humor. There are also some made-up episodes, such as the sub-plot with the agent Doris.

**She is the one who reminds me of the *Indiana Jones* character from the third part, Dr. Elsa Schneider. The actresses look alike, and the plot develops in a similar way, though we will not spoil it here.**

It was created for the movie to make it more attractive. To sum up—this is a dynamic movie, which at the same time can teach something about Poland's history. In other words, *The Messenger* fulfills these two fundamental functions: to entertain and educate the audience.

**In your next movie, you play another famous Pole, Stanisław Ulam, a mathematician, who is known for helping the United States create a nuclear bomb. Can you say something about this film?**

I have not seen the final version, so I can only judge from my experience on the set. This film has enormous potential. It is an independent movie, artistically ambitious, similar in style to *A*

*Beautiful Mind*. The ever-present hydrogen bomb generates the tension, just like in [George Bernard Shaw's] saying: "No conflict, no drama." This bomb is the most lethal weapon humans have created, and it's a terrifying thought that the pressing of one red button can destroy the whole world. It is a paradox that since the atomic bombs were dropped on Hiroshima and Nagasaki, there has been no nuclear incident. Thanks to those terrible events, we can enjoy world peace because the use of a hydrogen bomb would obviously mean the end of our civilization.

**Did Professor Ulam face any moral dilemmas over the use of nuclear weapons?**

But of course. The creators of the atomic bomb were shocked by Hiroshima; they could not fathom that their invention would be used in such a destructive way. And then, they were told to devise an even more lethal bomb. Ulam was hesitant about sharing the results of his research.

**You are revolving around historical themes. Recently, in the Polish TV theater production, you played a Polish writer and member of the Polish Underground, Gustaw Herling-Grudziński.**

This show was based on his novel *A World Apart* about the

Soviet gulag. It deals with dark themes— filth, starvation, and violence. But in my next films, I leave history behind and get back to the contemporary world.

**You are fluent in three languages: French, Polish, and English—**

—and Italian.

**The demand for such actors as yourself should be high.**

It gives me an advantage [*laughs*]—if not in France, then in Poland; if not in Poland, then in Switzerland. An actor's work is irregular—sometimes, you are very busy, and then, you go into hiatus. Whenever I take up a role, I never consider whether it is big or small but whether it is challenging, or if I can at least have some fun.  My logic is this: If the film is good, people will go to see it, and if not, it will be a great experience for me. There is one more principle I go by: I don't believe in talent; I believe in hard work. If you don't work on yourself, your talent will not be of much help. I have never heard of talent being destroyed by work though.

**Still, talent can have different colors; it does not have to mean the ability to learn text quickly. You can also have a knack for work, analytical thinking, or determination. In**

**this context, what is your talent?**

It’s no other than talent for work. I spend a lot of time memorizing the lines and preparing for casting. It is an obvious part of being an actor, just as practicing the piano for ten hours a day is for a pianist. I love it.

**Practicing can be creative.**

That’s what it’s all about. A recital is only a result of hours and hours of creative practice. In my profession, it is also crucial to meet the right people at the right time and be grateful for being given a chance. Everything I do is based on my faith in hard work and belief that everything will be fine. Whenever I had a dry spell, hope was essential for me. Eventually, an offer would always turn up.

---

[1] The Warsaw Uprising was a devastating and disastrous operation organized by the Polish Underground during World War II to liberate Poland’s capital city from Nazi Germany before the approaching Soviet Army could assume control. It is not to be confused with the 1943 Warsaw Ghetto Uprising.

**See Polish version of the interview and the accompanying photos here:**

http://www.cultureave.com/wierze-w-ciezka-prace/

---

# Sztuka podróżowania



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

**Włodzimierz Wójcik** *(Sosnowiec)*

Może na co dzień nie zawsze zdajemy sobie sprawy z tego, że nasze życie jest jedną wielką podróżą. Dotyczy to zarówno tak zwanych wielkich, a więc: artystów, pisarzy, uczonych, inżynierów-wynalazców, jak też całkiem zwyczajnych ludzi. Historia ludzkości znaczona jest podróżą, której synonimem są nazwiska ludzi tej miary, co Ibrahim Ibn Jakub, Marco Polo, Krzysztof Kolumb, Vasco da Gama oraz zwykłych śmiertelników, a więc: kupców, wędrownych cieśli, kosiarzy, domokrążców; beduinów, romów, emigrantów politycznych czy ekonomicznych. O roli podróży – tym razem roli podróży literackich – Jarosław Iwaszkiewicz wypowiadał się następująco: Dla ludzi piszących, poetów, literatów, nie ma jak podróż. Nie tylko zmiana środowiska, ale sam ruch wagonu, stuk kół o szyny już wywołują w umyśle pewnego rodzaju fermenty. Pomysły sypią się, rytm wiersza gada – i ostatecznie zamiast podziwiać i oglądać jakieś cudzoziemskie cuda – podróżujący pogrąża się we wspomnienia, a ze wspomnień powstają fikcje, nie mające nic wspólnego z otaczającą go rzeczywistością, a jednak dzięki tej rzeczywistości powstałe. Nieco inne aspekty pożytków podróżowania podnosił Kazimierz Wierzyński w cyklu esejów pod wymownym tytułem Cygańskim wozem. Wyznawał:

> Przelatywałem Atlantyk jedenaście razy, ale nic mi to nie

> dało. Ogromne samoloty, stu pasażerów, ciasnota, nuda. (…) Samochód to także podstępny przewodnik po świecie. Także supremacja maszyny nad człowiekiem, także odcięcie od rzeczywistości. (…) Właściwie świat nadaje się, by chodzić po nim piechotą. Wtedy jest dostępny i namacalny od oczu do podeszwy. Najbardziej nostalgiczne wspomnienia mam ze szkolnych czasów, z wędrówek (…).

Tym tropem myślowym szli inni skamandryci: Antoni Słonimski jako autor tomików „Droga na Wschód" i „Z dalekiej podróży", czy „Stanisław Baliński jako twórca wierszy Wieczór na Wschodzie". Baliński, emigrant mieszkający od czasu wojny w Londynie, zżerany tęsknotą za Polską marzył o zwyczajnych spacerach ścieżkami polnymi ojczystej ziemi. W swoim „Dzienniku" notował:

> Tak bardzo chciałbym iść nawet z obolałym kolanem, nawet lekko kulejąc przez jakąś ścieżkę polską i widzieć jako cel tej włóczęgi białawe brzozy.

Ale dość cytatów. Widzimy z nich, że są tam zawarte podróżne doznania i zaledwie wybrane tylko opinie ludzi nam współczesnych. A jak bywało dawniej? Słowacki, Mickiewicz, Norwid, Kraszewski i setki innych – to pisarze podróżnicy. Na

wołowej skórze tego nie spisać. Zresztą nie o jakiś rejestr tutaj chodzi… Rzecz najważniejsza to wnioski.

Podróżowanie jest oglądaniem i przeżywaniem świata. To prawda. Nowoczesnymi środkami lokomocji: szybkim samochodem, statkiem oceanicznym, czy samolotem odrzutowym na wysokości dziesięciu lub dwunastu tysięcy metrów. Można jednak czasem zdobyć się na podróżowanie rowerem, bryczką, furmanką, nawet pieszo. Zwłaszcza pieszo. W pierwszym przypadku mamy do czynienia z – używając terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim". W drugim – z „widzeniem bliskim".

Podróżujemy bezustannie nie tylko pokonując czas i odległości w rozumieniu fizykalnym. Czytając na przykład „Pana Tadeusza" kształcimy naszą wyobraźnię. Przenosimy się w miniony już czas i w inną przestrzeń. Wiadomo: na ziemie litewskie lat 1811–1812, nad równiny nadniemeńskie, „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem, pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem". Bardziej wykształcony czytelnik wie, że znajduje się w przestrzeni artystycznej, i jest zdolny podążyć także za podmiotem twórczym, w tym konkretnym przypadku za poetą, którego uznajemy za jednego z trzech, czy czterech wieszczów. Bada okoliczności powstania utworu. Biegnie tedy myślą ku Francji, do Paryża, nad Sekwanę, gdzie w latach trzydziestych minionego stulecia, w okresie Wielkiej Emigracji

polistopadowej, powstawały artystyczne wizje Mickiewicza… To też jest pyszne podróżowanie. Wymaga  jedynie wyrwania się – choćby na niedługi czas – z szalonego, nieludzkiego rytmu codzienności, zwolnienia pędu, i spokojnego oddania się lekturze w ciepłym świetle stołowej lampy.



Powozownia zamkowa w Łańcucie, pocztówka.

Jakie płyną wnioski z niniejszych wywodów? Chyba takie, że jeśli życie jest podróżą, to trzeba pamiętać, iż długość możliwej do przebycia w życiu drogi zależy od mądrze zorganizowanych na tej drodze wygodnych przystanków. Trzeba trochę racjonalizmu,

mądrości, rozwagi… Chodzi o to, aby na końcu tej drogi nie żałować – na skutek nieracjonalnego pędu za zdobywaniem mnóstwa przedmiotów i „rzeczy” – tego, iż nie zauważyło się fenomenalnego kształtu liści klonowych, cudownej organizacji życia mrówek, uroku rydza wyłaniającego się z leśnej trawy w lasach w okolicach Siewierza, koloru gila, czy sikorki, która towarzyszy nam w zimowe dni, mądrych liryków Szymborskiej, sugestywnych obrazów Malczewskiego, Chagalla, czy nie słyszało w całej pełni tonów muzyki Vivaldiego… Chwila refleksji nie zaszkodzi. W szaleńczym pędzie życia, który jest  czasem po prostu nierozumnym biegiem obok życia, konieczny jest przystanek; potrzebny, po wyjściu z odrzutowca, swobodny spacer właśnie polnymi ścieżkami, po łące, nad strumieniem, „gdzie woda czysta, a trawa zielona…”

Można także,  nie bacząc na mgłę i mżawkę, iść krok za krokiem nad naszą Czarną Przemszą i nieść w sercu tę niezłomną nadzieję, że wcześniej czy później władze regionalne podejmą heroiczną decyzje oczyszczenia tej rzeki, w której przed dziesięcioleciami można się było kąpać i łowić wcale smaczne ryby. Jeżdżę po Europie i pamiętam, że Ren i Tamiza były niegdyś prawdziwie martwymi rzekami. W ostatnich latach sytuacja radykalnie się zmieniła. Nad Tamizą spotyka się ludzi z wędkami. Radują ich gesty wskazujące na fenomenalne zdobycze. Człowiek się dziwi, że zazwyczaj chłodni Anglicy mogą tak się zapalać uprawiając wcale szlachetną „sztukę wędkarską”

w oczyszczonej już rzece. W roku 1980 mogłem na wysokości Bazylei kąpać się w niegdyś zatrutym Renie. Jestem świadomy tego, że walka z zanieczyszczeniami okazuje się niezwykle kosztowna. To prawda. Prawdą jednak jest i to, że zwalczanie chorób jest jeszcze kosztowniejsze. Wniosek ten okazuje się dość banalny, ale cenny. Wynika on bezpośrednio z uprawianej przeze mnie „sztuki podróżowania”… Po Zagłębiu, po Polsce i po świecie.



---

***Profesor Włodzimierz Wójcik*** *(1932-2012) ukończył polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pracował w latach 1969–1973. Od 1973 roku związany z Uniwersytetem*

*Śląskim, organizował nowo powołany Wydział Filologiczny. Był prodziekanem (1973–1975, 1977–1978) i dziekanem Wydziału Filologicznego (1984–1987), dyrektorem Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987–1991), twórcą i kierownikiem Zakładu Literatury Współczesnej (1981–2002). Przewodniczył Radzie Naukowej Instytutu Literatury i Kultury Polskiej (1987–1991). Koordynował badania w Uniwersytecie Śląskim nad literaturą polską XX w. Był członkiem Komisji Historycznoliterackiej PAN – oddziałów w Krakowie i Katowicach, Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza, Związku Literatów Polskich i Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego. Przez wiele lat pełnił funkcję opiekuna naukowego Muzeum Emila Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym.*

---

# Wkład Polaków w kulturę artystyczną

# Australii

**II Światowe Forum Nauki Polskiej poza Granicami Kraju, Pułtusk 2019 r. Materiały z konferencji.**



Bogumiła Żongołłowicz

**Bogumiła Żongołłowicz** *(Melbourne, Australia)*

> (…) dziś, przy końcu XX w. istnieje tylko jedna, jedyna kultura. Kultura ludzka. Ogólnoludzka. I na tę ogólnoludzką kulturę, w każdym punkcie naszej kuli ziemskiej składają się te same i takie same czynniki, żeby wymienić: literaturę, nowe kierunki filozoficzne, strukturę społeczną, muzykę, malarstwo czy ważne zdobycze naukowe (…). Nie ma więc różnych, odrębnych kultur narodowych. Są tylko większe lub mniejsze wkłady poszczególnych narodów, to po jakie licho kleci się w Australii ten sztuczny i nierealny problem „wielokulturowości”.

Tak pisał 40 lat temu na antypodach dziennikarz Ludwik Kruszelnicki, lwowianin z Wollongong.

Przed wielokulturowością (*multriculturalism*) była asymilacja (*assimilation*), która okazała się trudna. Australia, zagrożona japońską inwazją, słaba militarnie, politycznie i ekonomicznie przystąpiła po drugiej wojnie światowej do realizacji programu emigracyjnego. Społeczeństwo jednak z niechęcią podchodziło do *New Australians*, których tylko w latach 1945-1965 przybyło dwa miliony.

W 1959 r. podczas dorocznej Konwencji Obywatelskiej (Australian Citizenship Convention) w Canberze padło słowo „integracja” (*integration*). W 1963 r. pojawiło się określenie

trzecia kultura (*third culture*) dla zobrazowania czegoś nowego, powstałego z połączenia kultury brytyjskiej z elementami kultury emigrantów różnych narodowości.  W 1973 r. wydany został dokument Immigration Reference Paper, stwierdzający m.in., że każda grupa etniczna ma prawo do pielęgnowania dorobku kulturowego uczestnicząc jednocześnie w życiu całego narodu. Za ojca australijskiej polityki wielokulturowości uznaje się polskiego socjologa prof. Jerzego Zubrzyckiego. Zubrzycki z czasem zaczął wypowiadać się za kulturowym pluralizmem (*cultural pluralism*). Dziś mówi się w Australii o kulturowej różnorodności (*cultural diversity*). Polacy zajmują w niej znaczące miejsce. Choć ich liczba z roku na rok spada, są bardziej widoczni niż grupa powojenna. Wiążę się to z całą pewnością z wyższym poziomem ogólnego wykształcenia, kwalifikacjami zawodowymi, nierzadko bardzo dobrą znajomością języka angielskiego. Lista ludzi sztuki, którzy zaistnieli w Australii, obejmuje blisko dwieście nazwisk. Malarzy, rzeźbiarzy i grafików o ugruntowanej pozycji wymienić można około dwudziestu. I o nich tu będzie mowa.

Pierwszym Polakiem, który odcisnął ślad na sztuce Australii był **Feliks Terlecki**, żołnierz legionu polskiego na Węgrzech. W 1857 r. przybył do Melbourne, gdzie zajął się snycerstwem. Jego dziełem jest kunsztowna rama do atlasu Jamesa McKaina Meeka („Historical and Descriptive Atlas of the British Colonies in Continental and Insular Australia”) według projektu Jamesa

Martina. Atlas przedstawia skróconą historię brytyjskich kolonii w Australii: mapy, tabele statystyczne, teksty i portrety historyczne oraz pieczęcie. Terleckiemu przypisuje się też rzeźby zdobiące masywny kredens zaprojektowany i wyprodukowany przez Petera McLeana, uznawany za najpiękniejszy i najciekawszy mebel, jaki kiedykolwiek wyprodukowano w stanie Wiktoria. W 2010 r. na aukcji Sotheby's Australia kredens Petera McLeana osiągnął cenę pół miliona dolarów.

W 1862 r. do Australii przypłynął **Gracjan Józef Brojnowski**. Po ucieczce, z rodzinnych Walichnowów k. Wielunia przed wcieleniem do armii pruskiej, znalazł się w Londynie, skąd potem udał się do Wiktorii, w której panowała gorączką złota. Do historii przeszedł jako artysta-malarz, ornitolog, obrońca australijskiej fauny. Przygotował m.in. tekst i barwne litografie ponad 700 australijskich ptaków do sześciotomowego dzieła w formacie in folio *The Birds of Australia* (1889-1891). Nazwisko Broinowski jest dobrze znane w Australii. Jeden z sześciu synów Gracjana, Felix, został

> naczelnym kreślarzem w departamencie spraw wewnętrznych w Canberze. Rysował pierwsze plany przyszłej stolicy.

W dwadzieścia lat po Brojnowskim na antypody przybył z

rodzicami i rodzeństwem łodzianin **Jan Radecki**. W 1909 r. został głównym projektantem witraży w firmie J. Ashwin & Company, a po jedenastu latach jej właścicielem. Był to największy zakład szklarski w Sydney, cieszący się dużą renomą. Prace Radeckiego, sceny i epizody z Biblii, można oglądać w wielu kościołach Australii. W samym sercu Sydney – przy Martin Place – stoi Commonwealth Savings Bank. Sufit głównej sali zdobią witraże ilustrujące „podstawowe źródła bogactwa" kraju: wypas owiec i bydła, rolnictwo, górnictwo, żeglugę i budownictwo obok typowych scen bankowych.

> Genialne błękitne niebo, papugi Rosella i owce z merynosów wyrażają optymizm i dumę, pewność, która miała zniknąć w kryzysie lat trzydziestych.

W Bibliotece Stanowej Nowej Południowej Walii – najstarszej bibliotece w Australii – wzrok przykuwa „okno Williama Caxtona" (1941 r.) – również projekt i wykonanie firmy Radeckiego.




Okno Williama Caxtona (1941 r.),  projekt i wykonanie firmy Radeckiego, Biblioteka Stanowa Nowej Południowej Walii, fot. E. Chylewska

Radecki posiadał naturalną umiejętność rysowania postaci i posługiwania się technikami malowania na szkle. Kolor wykorzystywał jako „narzędzie” kompozycyjne. Był aktywny zawodowo do później starości. W 1946 r. w „The Australian Women’s Weekly” ukazał się artykuł, w którym czytamy, że w firmie przy 31 Dixon Street w Haymarket, gdzie dzień zaczyna się od powitania w języku polskim, „piękno i jakość wykonania liczy się bardziej niż zysk”.

Emigracja polska na piątym kontynencie do wybuchu drugiej wojny światowej nie przekraczała 3 tysięcy osób. Po wojnie urosła do 65 tysięcy. To „właśnie ta grupa ukształtowała powojenną Polonię australijską, gdyż późniejsze fale jedynie ją uzupełniały i różnicowały”– pisał socjolog Jan Lencznarowicz.

W 1948 r. przybył do Australii **Aleksander Szołomiak** z Sambora. Osiadł na Tasmanii. Uprawiał malarstwo portretowe, religijne, pejzażowe i rodzajowe. W latach 50. wykonał kilka replik wizerunków Elżbiety II. Jeden z nich wisi w sali reprezentacyjnej ratusza w Launceston. „Queenie” mówią o niej pracownicy urzędu, jest obecna na każdej ceremonii naturalizacji. Szołomiak parał się również rzeźbą i dekoracją rzeźbiarską architektury. Figura Matki Boskiej Zwycięskiej ze szklanego włókna wieńczy wieżę kościelną w Lutanie. Budynek oddziału położniczego głównego szpitala w Launceston zdobi dwumetrowa płaskorzeźba z brązu przedstawiająca matkę z dzieckiem („Mother & Child”). Żelbetonowa dziewczyna przypominająca warszawską Syrenkę wita turystów w Binnalong Bay (St. Helens). Prace Szołomiaka można znaleźć w wielu obiektach publicznych na Tasmanii.

Na liście światowego dziedzictwa UNESCO znalazł się dorobek twórczy **Józefa Stanisława (Stana) Ostoi-Kotkowskiego.** Ostoja-Kotkowski rodem z Golubia był malarzem, projektantem tkanin, fotografem, filmowcem,

rzeźbiarzem, muralistą, wynalazcą, eksperymentatorem, scenografem teatralnym, realizator dźwięku, pedagogiem, pisarzem, grafikiem komputerowym, twórcą sztuki laserowej; jednym z największych artystów polskich i australijskich XX wieku, artystą o światowej renomie; silnym indywidualistą i doskonałym autopromotorem.

Mieszkał w Stirlingu koło Adelajdy. W latach sześćdziesiątych odbył wiele podróży po Australii, zwłaszcza jej pustynnych terenach. Pisał:

> Zobaczyłem wtedy w naturze zjawisk**a** tak niesamowite, że trudno mi było wprost uwierzyć, że są prawdziwe. Odkryłem we wnętrzu tego kraju potęgę światła, które doprowadziło mnie do lasera.

Był pierwszym artystą na świecie, który użył efektów laserowych w teatrze i w operze.

Tworzył rzeźby, freski, luminacje w różnych budynkach użyteczności publicznej w Melbourne, Perth, Adelajdzie i Canberze, abstrakt na szklistej emalii, kolaże optyczne, grafikę komputerową, artystyczne fotografie. Zaprojektował pomnik ofiar Katynia w Adelajdzie i pomnik Tadeusza Kościuszki w Cooma.

Za wkład w sztukę wizualną (*For service to visual arts*) odznaczony został Orderem Australii (1992). Kraj wyróżnił go medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (1991).

Z Adelajdą związani byli również bracia **Dutkiewiczowie: Władysław i Ludwik** ze Starej Soli, obaj zaliczani do najbardziej postępowych artystów z okresu powojennego w Australii Południowej, obaj impresjoniści i abstrakcjoniści, obaj członkowie Royal South Australian Society of Arts. W Polsce żył i tworzył ich brat Jan.

**Władysław Dutkiewicz** był malarzem, rzeźbiarzem, pisarzem, aktorem, scenografem i reżyserem teatralnym. Założył Art Studio Player. Wystąpił jako aktor w kilku dramatach telewizyjnych w Melbourne. W latach 50. i 60. był uważany za lidera sztuki współczesnej w Adelajdzie. Przywiózł do Australii europejską wrażliwość. W jego ślady poszła trójka z pięciorga dzieci: Michał – artysta komercyjny, Adam – krytyk sztuki, historyk i malarz, autor biografii ojca i stryja oraz Ursula – artystka-ceramik i rzeźbiarka.

**Ludwik Dutkiewicz** przez 30 lat pracował w Botanic Gardens of South Australia jako ilustrator. Wykładał w South Australian School of Art, zanim zajął się filmem eksperymentalnym.

Zarówno Władysław jak i Ludwik byli w monachijskim

uniwersytecie UNRRA uczniami **Maksymiliana Feuerringa**, kluczowej postaci powojennej emigracyjnej rewolucji kulturalnej na piątym kontynencie. Urodził się w ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej we Lwowie. Studiował w Rzymie i Paryżu, gdzie przez wiele lat mieszkał. Przed wojną wykładał na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Związany z ugrupowaniem artystycznym „Nowa Generacja”. Oficer polskiej armii. Jeniec obozu w Murnau. Jego żona i rodzice zginęli w obozach koncentracyjnych. Nie widząc dla siebie miejsca w Europie wyemigrował w 1950 r. do Australii.

Był bardzo zdyscyplinowanym malarzem, ambitnym i zaangażowanym nauczycielem. Uczył rysunku i malarstwa w swoich pracowniach w Bellevue Hill i Woollahra oraz w ramach zajęć dla dorosłych na Uniwersytecie Sydnejskim. Malował szybko. Powstanie każdego nowego obrazu poprzedzały głębokie przemyślenia i wiele szkiców. Kiedy jednak sięgał po pędzel, miał pełną jasność co do formy, kompozycji i koloru. Choć jego obrazy są impresjonistyczne i na wpół abstrakcyjne, odzwierciedlają klasyczne wykształcenie artysty. Jego prace prezentowano na ponad 100 wystawach na całym świecie.



Paul Juraszek, The Sun & The Moon, 1989, fot.. B. Żongołłowicz

Z pierwszą falą emigracyjną przybył do Australii jeszcze jeden artysta urodzony w rodzinie żydowskiej, **Feliks Tuszyński** z Płocka. Samouk, również dotknięty tragizmem wojny cierpienie wyrzucał z siebie pędzlem i… patykiem. Dziesięć lat temu podarował Muzeum Mazowieckiemu w Płocku, ponad 200 prac, w tym obrazy i rysunki, a w 2013 Muzeum Diecezjalnemu kolekcję 50 obrazów olejnych poświęconych przeżyciom wojennym. Część swojego artystycznego dorobku przekazała do płockiemu muzeum również żona Feliksa, lublinianka **Danuta Michalska**, przybyła do Australii w połowie lat osiemdziesiątych.

Zwrócono uwagę, że

> w swojej twórczości angażuje się w problematykę społeczną. Nie ilustruje, lecz przedstawia własną wizję przeżyć, w której podkreśla klimat i atmosferę otaczającego ją świata. Interesuje ją malarska forma grafiki, stąd poszukiwanie nowych, mało znanych rozwiązań warsztatowych, jak ksylotypia czy centografia. (…). Prace przygotowuje dużymi cyklami starając się rozwiązać zamierzony cel.

Z wymienionej powojennej szóstki najwcześniej usłyszałam o **Kotkowskim**. Niestety, nie poznałam go. Częste podróże po wielkim kontynencie dla początkującej emigrantki nie wchodziły z wielu powodów w grę. Na teren posiadłości rodziny Bootów w Stirlingu, od której Kotkowski wynajmował cottage, weszłam już po jej sprzedaży, w rok po śmierci artysty. Klamka drzwi do studia, w wolno stojącym baraku, puściła pod lekkim naciskiem. Ściany świeciły pustką. Działał telefon.

Do Launceston, gdzie mieszka wdowa po **Aleksandrze Szołomiaku**, wybrałam się, gdy przyszło mi opracowywać hasło do Polskiego Słownika Biograficznego. Kiedy odwiedziłam **Władysława Dutkiewicza**, malował „taniochą” jak definiował akwarele, bo tylko na nią było go stać. Prosił, abym postawiła mu piwo. Z siostrzenicą **Feuerringa** nawiązałam korespondencję,

raczkującą angielszczyzną. Spotkałam się z dużą wyrozumiałością, czego dowodem opasła teczka w moim posiadaniu z materiałami tego wybitnego malarza. **Feliksa i Danutę** miałam na miejscu, w Melbourne, gdzie mieszkam. Mogłam podziwiać ich artystyczny dorobek przy okazji każdej wizyty. Ściany większości pomieszczeń ich domu obwieszone były ich własnymi pracami. Feliks zmarł trzy lata temu. Danucie zły stan zdrowia nie pozwala już tworzyć.

**Władysław Dutkiewicz** uznawany jest za duchowego założyciela Polskiej Fundacji Artystycznej powstałej w 1978 r. w Melbourne, najbardziej znaczącej organizacji skupiającej twórców. Grupa jego bliskich przyjaciół postanowiła zorganizować pokaz swoich prac, aby pomóc choremu wówczas artyście. Cel nowej fundacji był prosty: promocja polskich artystów wśród społeczności australijskiej i promocja artystów australijskich wśród społeczności migrantów mieszkających w Australii. Fundacja dążyła między innymi do stworzenia kolekcji, która cieszyłyby kolejne pokolenia. Zamiar ten zrealizowano częściowo. Z braku stałej siedziby eksponowała zbiory w różnych placówkach. Niestety, część obrazów zaginęła.

PFA organizowała szereg wystaw tematycznych, warsztatów dla artystów. Prowadzi aukcje sztuki. Redaguje kwartalnik RAMA. W 2001 r. zorganizowała pierwsze Międzynarodowe Biennale Rysunku im. **Tomasza Ostrowskiego**, który zapisem

testamentowym podbudował finanse organizacji. Napłynęło 128 zgłoszeń z 14 krajów. Tegoroczne biennale – dziesiąte – ma być ostatnim. Członkowie PFA starzeją się, a młodzi artyści nie czują potrzeby zrzeszania się w polonijnej organizacji, choć nastawionej na szerokiego odbiorcę.

Z PFA związane były **Lidia Groblicka**, malarka i graficzka bardzo polska w swoim dziele, przybyła do Australii z Londynu w latach sześćdziesiątych i **Ewa Pachucka**, emigrantka lat siedemdziesiątych, artystka uprawiająca sztukę włókienniczą w formie przestrzennej. „Recz wyrasta spod jej ręki z szybkich okrężnych ruchów szydełka”  – pisał o pracy Pachuckiej jeden z recenzentów. Z połączenia włókien naturalnych i syntetycznych powstała m.in. praca „Arkadia: krajobraz i ciała” (1972-1977). Jednym z publicznych zleceń, jakie Pachucka otrzymała, była rzeźba z piaskowca „Skamieniały krajobraz architektoniczny” dla Ogrodu Rzeźby Zewnętrznej w nowym budynku parlamentu w Canberze. Mąż rzeźbiarki, Roman, pracował jako konserwator dzieł sztuki w Tasmańskim Muzeum i Galerii Sztuki w Hobart. W 2000 r. Pachuccy przenieśli się do Francji.

**Łukasz Kazimierz Żywuszko** (Lukas Zywusko, Z.K. Lukas), rzeźbiarz, konserwator i rekonstruktor rzeźby zabytkowej, w swojej drugiej podróży studyjnej dookoła świata, przebywał w Australii, gdy w Polsce ogłoszono stan wojenny. *A Polish version of Henry Moore* napisał o nim jeden z krytyków. Przez szereg lat

był jedynym konserwatorem pomników zatrudnionym przez melbourneński ratusz. Spośród kilkudziesięciu obiektów, które odnowił, jest słynny pomnik królowej Wiktorii odsłonięty w Melbourne w 1907 r.

Emigracja lat osiemdziesiątych przyniosła wiele nazwisk polskich artystów, żeby wymienić tylko **Barbarę Lichą**, **Piotra Ożerskiego**, **Henryka Szydłowskiego**, **Jarka Wójcika**, **Bolka Markowskiego**, **Ryszarda Konikowskiego**, **Janusza Kuźbickigo**, **Andrzeja Dziatlika**, **Bogdana Fijałkowskiego**, **Andrzeja Bartoszewicza**, **Mariolę Smarzak**, **Jerzego Michalskiego**, **Wojciecha Pietranika**, dziś o ustabilizowanej pozycji, w niektórych przypadkach osiągających wysokie ceny ze sprzedaży własnych dzieł sztuki.

W moim referacie nie może zabraknąć akcentu aborygeńskiego. **Julianna Bednarowicz** z Alice Springs stworzyła serię portretów we współpracy ze znanymi artystami aborygeńskimi: Daniel Rex Japananngka, Kudditji Kngwarreye, Gracie Morton, Polly Ngale, Mary Dixon Nungurray, Gloria Petyarre, Kathleen Petyarre, Violet Petyarre, Judy Watson, Long Jack Philipus, Paddie Sims i Willie Tungurray, Unikatowe wizerunki połączyła z ich własnymi pracami. Mąż Julianny, Ryszard, jest autorem książki „Sztuka Aborygenów”.



Kinga Rypińska, Captain  Kangaroo, fot. B. Żongołłowicz

Motywy australijskiej flory i fauny znajdujemy w malarskich fantazjach **Kingi Rypińskiej** (w Australii od 1993). Rzeźby z brązu autorstwa **Piotra Ożerskiego** stoją w centrum Sydney.

Drugie pokolenie Polaków w Australii, poza wspomnianymi wcześniej dziemi **Władysława Dutkiewicza** reprezentuje również **Paul Juraszek**. Jego imponująca praca „Słońce i księżyc” (The Sun & The Moon, 1989) znajduje się w rejestrze

National Trust m.in. dlatego, że postrzegana jest jako pierwsza rzeźba postmodernistyczna w Melbourne.

Osiągnięć artystów polskich i polskiego pochodzenia i ich wpływu na kulturę artystyczną Australii nie da się – choćby w największym skrócie – ująć w ramy kilkunastominutowego referatu. Można je jedynie zasygnalizować. Tym bardziej, że podstawową trudnością, na jaką napotkałam jest brak opracowań na ten temat. Jedyny znany mi tekst, to szkic dziennikarza i pisarza Andrzeja Chciuka: „Dorobek twórczy Polaków w Australii i Nowej Zelandii", opublikowany w tomie drugim „Pamiętnika Literackiego" w 1978 r.

Największe miasta australijskie dwudziestopięciomilionowego kraju są w światowej czołówce w dziedzinie życia kulturalnego. Mieszka w nich ponad 100 tysięcy osób polskiego pochodzenia. W wielu galeriach australijskich, państwowych i prywatnych, znajdują się prace Polaków, ale ogół społeczności o nich nie wie. Ta wiedza jest znikoma na obu półkulach.

Czas to zmienić! W realizacji tej misji widzę rolę zarówno pokolenia, które odchodzi, jak i młodych. Pokoleniowa współpraca powinny zaowocować znaczącą publikacją.

***Fotografie pochodzą z archiwum autorki***

_____

***Dr Bogumiła Żongołłowicz*** *humanistka, dziennikarka, pisarka, dokumentalistka. Od 1991 r. w Australii. Absolwentka polonistyki Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku 1974-78. Ukończyła Podyplomowe Studium Filologii Polskiej Uniwersytetu Gdańskiego 1983-84, Podyplomowe Studium Dziennikarstwa i Edytorstwa Uniwersytetu Warszawskiego 1986-88, Royal Melbourne Insitute of Technology (Professional Writing and Editing) 1995-98. W 2003 r. uzyskała stopień doktora filozofii w zakresie slawistyki (Doctor of Philosophy – PhD) na Macquarie University w Sydney.*

*Nauczycielka w słupskich szkołach podstawowych 1978-84; starszy inspektor ds. organizacji i wydawnictw Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pobrzeże" w Słupsku 1984. Od 1985 r. dziennikarka i sekretarz redakcji tygodnika „Konfrontacje" w Słupsku. W 1989 r. podjęła współpracę z redakcją „Gońca Pomorskiego" – pierwszej prywatnej gazety codziennej w regionie Pomorza Zachodniego i Środkowego. Objęła funkcję kierownika oddziału w Słupsku, który sama sformułowała. Przecierała wraz z kolegami szlaki dla nowoczesnego dziennikarstwa w Polsce. Była współzałożycielką i prezenterką jednego z pierwszych programów telewizji osiedlowej w kraju – Studio BPL.*

*Autorka książek: „Lato w Surrey” (1984); „Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów” (1999); „Śmierci nie moje” (2002); „Kabaret Literacko-Satyryczny 'Wesoła Kookaburra'” (2004); „O pół globu od domu. Obraz Polonii australijskiej w twórczości Andrzeja Chciuka” (2007); „Śmierci mi bliskie” (2008); „Jego były 'Czerwone maki…’. Życie i kariera Gwidona Boruckiego – Guido Lorraine’a” (2010);„(Nie)śmiertelnie” (2016); „Konsul. Biografia Władysława Noskowskiego” (2017), „(Nie)śmiertelnie” (wyd. II) z komentarzem Adama Kubackiego (2018); „(Nie)śmiertelnie” (wyd. III) z komentarzem Artura Cembika (2018).*

*Ważniejsze prace redakcyjne i edytorskie: „Andrzej Gawroński, Mój punkt widzenia”, (1999); „Andrzej Gawroński, Zapiski z dwóch światów” (2001); „Listy z Australii Romana Gronowskiego” (2005); „Krystyna Jackiewicz, Poezje wybrane” (2006); „Ludmiła Błotnicka, Przez zielona granicę” (2007); „Władysław Noskowski, Dziennik z pierwszych tygodni w Australii” (2011), „Griffith – Sydney. Listy. Zbigniew Jasiński – Roman Gronowski 1954-1959” (2017); „Lidia Duda-Groblicka, Mój świat” (2017).*

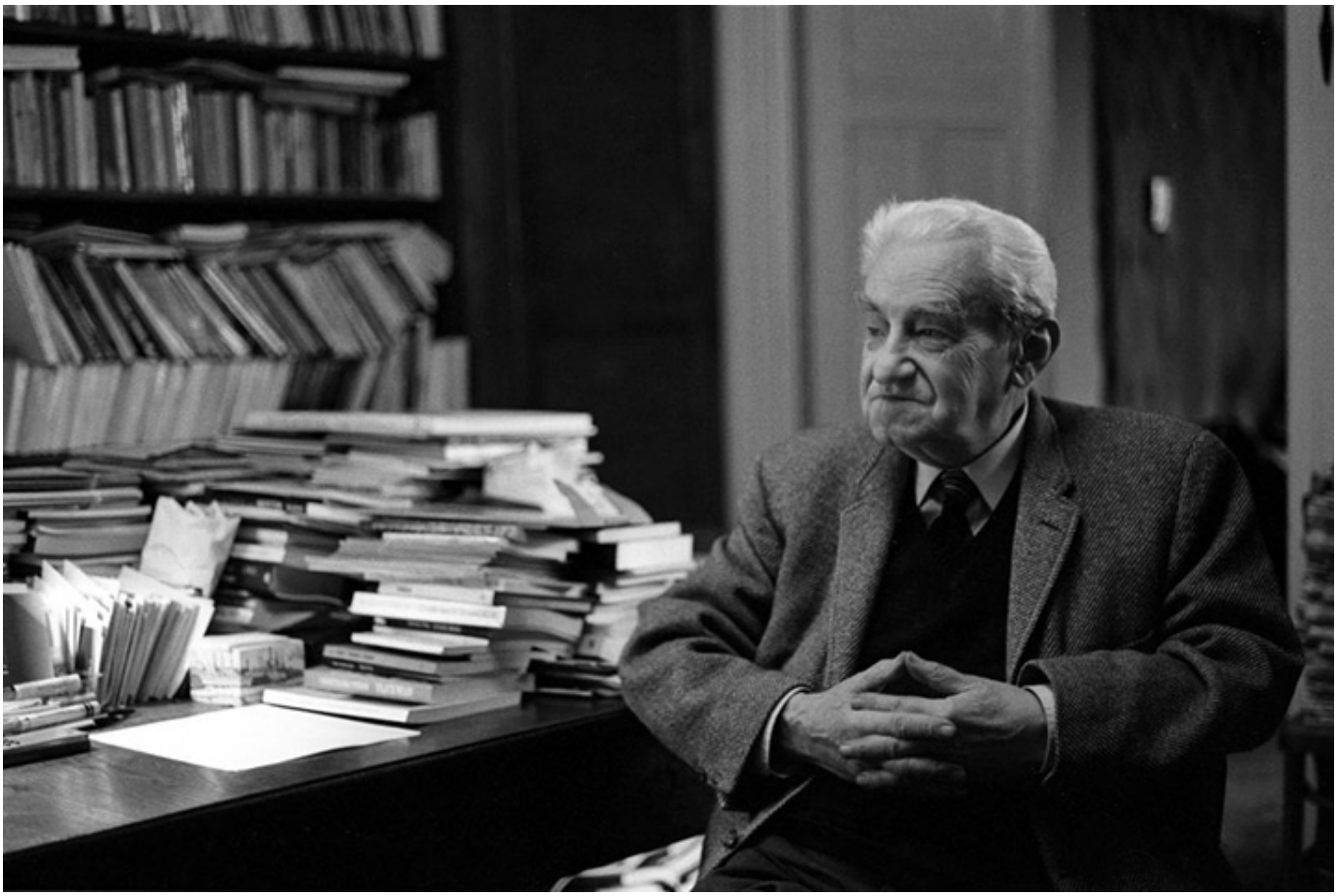
*Współpracownik Sekcji polskiej Radia SBS wielokulturowej Australii (1991-), Research School of Social Sciences, Zakładu Biografistyki Polonijnej PUNO, Paryż (1997-1999), The Australian National University, Canberra (1997-2005), redakcji Encyklopedii polskiej emigracji i Polonii, Toruń (2003), Zakładu*

*Polskiego Słownika Biograficznego, Instytut Historii PAN, Kraków (2009-). Przewodnicząca jury Konkursu Satyrycznego im. Andrzeja Gawrońskiego Melbourne (2007-2016).*

*Medal Honorowy „Polonia Semper Fidelis" za zasługi i pomoc przy opracowaniu Ilustrowanego słownika biograficznego „Polonii świata" (1999). Wyróżniona w Konkursie Historycznym Ministra Spraw Zagranicznych (2018) na najlepsze publikacje promujące historię Polski i historię polskiej dyplomacji; w kategorii najlepsza publikacja w języku polskim z zakresu historii polskiej dyplomacji za pracę Konsul. Biografia Władysława Noskowskiego. Członek Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich (1991-) i Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (2005-).*

*Zainteresowania dr Bogumiły Żongołłowicz koncentrują się wokół polskich losów na australijskiej ziemi, szczególnie po II wojnie światowej, wkładu Polaków w rozwój światowej kultury. Poprzez swoją pracę naukową i pisarską działa na rzecz prestiżu Polski i Polonii w Australii.*

# Znajomość z Jerzym Turowiczem



Jerzy Turowicz redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego”, mieszkanie na Lenartowicza, Kraków 1997 r., fot. www.jerzyturowicz.pl

**Florian Śmieja** *(Mississauga, Kanada)*

Jerzego Turowicza (1912-1999) znałem kilkadziesiąt, powiedzmy,

czterdzieści lat. Być może, że spotkałem go już za czasów wydawanie pism studenckich w Londynie w latach pięćdziesiątych, kiedy wśród jaskółek z Polski popaździernikowej przybył obok Zawieyskiego, Herberta i Tyrmanda, Kisielewski, Woźniakowski oraz Turowicz.

Odwiedzałem go potem regularnie w Krakowie, w ostatnim pokoju redakcji "Tygodnika Powszechnego" przy Wiślnej 12a. Siedział tam przy zwyczajnym stole zawsze zasłanym stertą czasopism i książek. Koło stołu stała tablica z rozkładem następnego numeru pisma. Towarzyszył mu najczęściej zastępca, Krzysztof Kozłowski, późniejszy minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego.

Mieszkanie Turowicza było równie pełne czasopism i książek, stojących na podłogach w wysokich stosach. Trzeba było chodzić wśród nich jak bocian. W przedsionku radził Turowicz nie rozmawiać, gdyż był na podsłuchu.

Zawsze znalazł czas by pogawędzić. Giocondowski uśmiech nie schodził mu z twarzy. Miał pogodę i poczucie człowieka światłego, speszonemu młodemu rozmówcy dobrotliwie podpowiadał słowa w momencie zażenowania. Na oferowane do "Tygodnika Powszechnego" teksty reagował od ręki.

Dla mnie i mojej rodziny był zawsze nader gościnny: raz nawet

zaprosił do swojego mieszkania na nocleg, innym razem do mieszkania córki. Może pamiętał, że przed wojną jeszcze zawędrował  z grupą, czy aby nie Odrodzenia, do majątku mojego teścia na Polesiu Wołyńskim. Miałem przyjemność gościć go potem w swoim domu w Kanadzie.

Mimo podeszłego wieku był osobą o dużej żywotności, jak wtedy, kiedy był obecny na zebraniu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie w sobotę, a w niedzielę w Krakowie przewodniczył zebraniu obywatelskiemu, mającemu następnie przyjąć nazwę Road.

Przed laty byłem z Michałem Giedroyciem na wykładzie Leszka Kołakowskiego w London School of Economics. W drodze do kolejki podziemnej obaj zgodzili się, że w post-komunistycznej Polsce trzeba będzie postawić Turowiczowi pomnik, jako człowiekowi, który był symbolem mądrej opozycji w najczarniejszych czasach, kiedy jeszcze nie było absolutnie żadnych przebłysków światła nadziei na horyzoncie.

# Pamięć i wybaczenie

**Rozmowa z siostrą Rut ze Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek w Olsztynie (Ewą Kopicz), wnuczką doktora Józefa Kopicza, psychiatry zamordowanego wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim w nocy z 16 na 17 października 1939 r.**

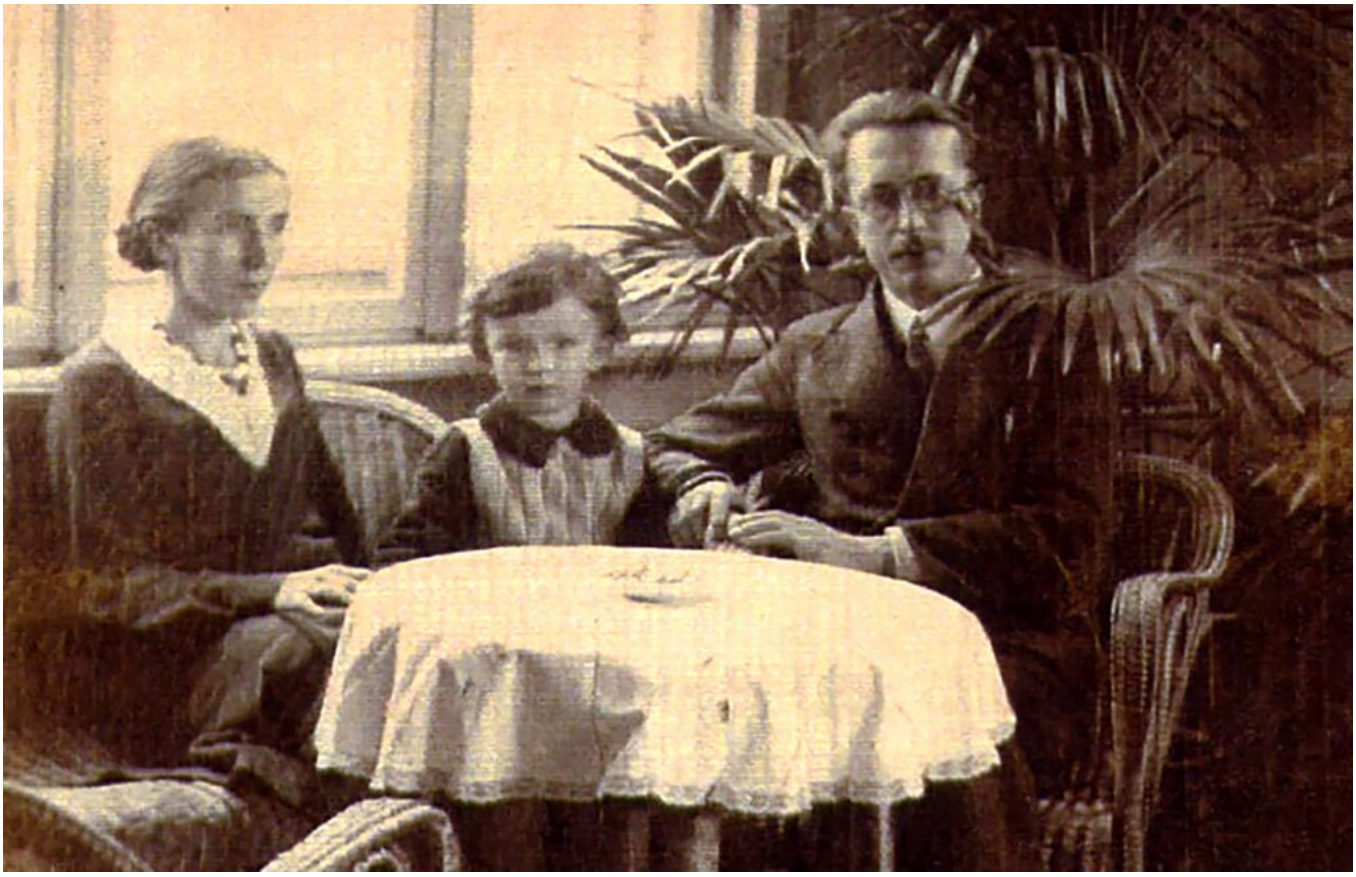


Wnuczka zamordowanego doktora Józefa Kopicza, Ewa Kopicz (siostra Rut) przed pomnikiem w Lesie Szpęgawskim.

**Joanna Sokołowska-Gwizdka:** Moja babcia Anna z Kopiczów Sokołowska i Twój dziadek Józef Kopicz byli rodzeństwem. Moja babcia zmarła po wyjściu ze stalinowskiego więzienia w 1953 r. Miała 48 lat. Twój dziadek został zamordowany, gdy miał 37 lat. Ani ja, ani Ty ich nie poznałyśmy. Ale to nie znaczy, że ich nie ma w naszym życiu. Co wiedziałaś o dziadku, gdy byłaś dzieckiem?

**Ewa Kopicz:** Niewiele, bo moje dzieciństwo było zupełnie inne niż obecnie mają dzieci. Ja musiałam być dorosła już w wieku 7 lat. Pamiętam dzień, jak odszedł od nas nasz Tata. Nie rozumiałam dlaczego potem musiałyśmy się z Mamą, wyprowadzić z ukochanego miejsca na Kociewiu, gdzie był nasz dom. Teraz już wiem, że to wszystko było konsekwencją śmierci Dziadka. Tata nie był przygotowany na problemy, które niesie życie, uciekał od nich, nie umiał się z nimi zmierzyć. Nikt go nie nauczył stawiać czoła trudnościom. Jako syn zamordowanego doktora był chroniony przez babcię Halinę, która panicznie się bała, że i jego może stracić. Dlatego jego życie i nasze tak się potoczyło.

**JSG:** Mówiłaś, że kiedyś pojechałaś z Mamą do Kocborowa i zobaczyłaś skrzydło szpitala, w którym było mieszkanie Twoich dziadków. Jak zapamiętałaś tę wizytę?



Doktor Józef Kopicz, z żoną Haliną i synem Adamem, fot. archiwum rodzinne.

**EK:** Zabrałam Mamę do Kocborowa już po wstąpieniu do klasztoru. Ona znała ten zakład. Mówiła mi gdzie mieszkali dziadkowie, pokazywała okna, które należały do ich mieszkania. Obeszłyśmy cały szpital. Potem pojechałyśmy do Szpęgawska. Wtedy po raz pierwszy Mama opowiedziała mi historię Dziadka. Byłam wtedy z niego taka dumna.

**JSG:** Więcej dowiedziałaś się o Dziadku od siostry Twojego Taty, Ewy Kopicz-Kamińskiej, też lekarza psychiatry, której życie było hołdem oddanym zamordowanemu ojcu.

**EK:** Tak, ale gdy dorastaliśmy, nie utrzymywaliśmy z nią

kontaktów. Mama mi powiedziała, że ona nie żyje. Taką informację przekazał jej Tata. Pewnego jednak dnia, Mama zobaczyła Ciocię w telewizji i mi o tym powiedziała, a ja ją odnalazłam. Potem miałam z nią już częsty kontakt. Odwiedzałam ją jak tylko byłam w Warszawie, często rozmawiałyśmy przez telefon, byłam przy niej jak chorowała i leżała w szpitalu. Byłam też na pogrzebie.




**JSG:** 28 września byłyśmy na premierze filmu „Szpęgawsk 1939” w reżyserii Sebastiana Bartkowskiego. Jest to wstrząsający, fabularyzowany dokument pokazujący jak wyglądała niemiecka Akcja T4 – eksterminacja pacjentów szpitali psychiatrycznych i Akcja Inteligencja – masowe mordowanie księży i nauczycieli podczas II wojny światowej na Pomorzu. Nie można uwierzyć w

skalę tego bestialstwa. Jak to możliwe, że niemieccy sąsiedzi, wkładając mundur Wermahtu lub SS stawali się katami swoich polskich sąsiadów, z którymi całe lata mieli dobre stosunki, znali ich rodziny, ich problemy. Gdzie zatem jest granica człowieczeństwa? Proszę, podziel się swoimi refleksjami na temat tego filmu.

**EK:** Film „Szpęgawsk 1939" był dla mnie ogromnym przeżyciem. Poczułam się jak wnuczka bohatera, człowieka dla, którego drugi człowiek stanowił wartość taką, za którą warto umrzeć. „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich" J 15,13-17.

**JSG:** W filmie jest wątek Twojego dziadka. Pokazana jest scena rodzinna, babcia, dziadek, Twój tata Adam i jego siostra Ewa w salonie przy stole, scena w szpitalu, zgłoszenie się w październiku 1939 r. dziadka do szpitala w Kocborowie, a następnie aresztowanie, tortury i śmierć. Jak odebrałaś te sceny?

**EK:** Nie oczekiwałam podobieństwa aktora, ale chciałam spotkać Dziadka, którego nigdy w życiu nie miałam. Myślę, że spotkałam.



Pomnik ku czci pomordowanych w Lesie Szpęgawskim – betonowy las, a wśród drzew ścięte pnie z nazwiskami.



W prawej górnej części, na obrzeżu widnieje nazwisko Józefa Kopicza.

**JSG:** 29 września odbyło się uroczyste otwarcie pomnika w Lesie Szpęgawskim. Szacuje się, że w lesie tym w ciągu kilku pierwszych miesięcy II wojny światowej zginęło 5-7 tysięcy osób. Dziś z imienia i nazwiska znanych jest niespełna 2400 ofiar, z czego ponad 1600 to pacjenci szpitala psychiatrycznego w Kocborowie. Ponad 30 ogromnych, bezimiennych dołów, gdzie piętrowo upychano zastrzelonych. W jednym z nich leży Twój dziadek. Co byś mu dziś powiedziała?

**EK:** Powiedziałabym: dumna jestem z Ciebie Dziadku, ludzie nigdy nie zapomną Twojej ofiary, ale… zostawiłeś rodzinę.

Dziadku, Twoja śmierć nie była tylko chwilą, ona pociągnęła za sobą skutki. Każdy Niemiec powinien zrozumieć, że zabijając jednego człowieka zranił tysiące ludzi w drugim i trzecim pokoleniu. Zadał takie rany ludzkości, że po 100 latach będą jeszcze się ciągnąć w ludziach i rodzinach. Tak jak w naszym przypadku. Niemiec, który pociągnął za spust i odszedł z lasu, może z poczuciem spełnionego obowiązku, pozostawił po sobie ścięte drzewa, których „kikuty" przez wieki będą ludziom mówiły o bólu, nienawiści, ale i o bohaterstwie. Ten las, który szumi, opowiada dzieje i ból tysiąca ludzi i ich niedokończoną historię. Chciałam tam klęczeć i w ziemię krzyknąć: „Bądźcie spokojni Polska o was nie zapomni". Modliłam się, wiedząc, że stoję nad grobem mojego Dziadka. Nie martw się Dziadku, daliśmy radę!

**JSG:** Czy wybaczyłaś?

**EK:** Wybaczyłam? Tak, ale nie zapomnę. Będę myśleć o Dziadku bez żalu i będę do niego przyjeżdżać. Dbam też o groby jego dzieci. Modlę się za Nich wszystkich!



W jednym z ponad 30 masowych grobów w Lesie Szpęgawskim leży wraz ze swoimi pacjentami doktor Józef Kopicz.

**Przypisy:** *Doktor Józef Marceli Kopicz, żona: Halina z domu Szybowicz, dzieci: Adam i Ewa Kopicz, synowa: Jadwiga z domu Dorozińska, wnuki, dzieci Adama: Ewa, Nina, Maciej Kopicz.*

*Córka Józefa Kopicza, Ewa Kopicz-Kamińska zmarła bezdzietnie w 2014 roku  w Warszawie.*




Kadr z filmu „Szpęgawsk 1939”, doktorostwo Kopicz, scena rodzinna. W postać doktora Józefa Kopicza wcielił się Mariusz Mecka, w rolę jego żony Haliny – Ania Lembicz, dwójkę ich dzieci – Adama i Ewę – zagrały Jana Dołęga i Gordon Gadziejewski.

http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2019/10/10.-Dr-Kopicz.mp3

**Utwór „Dr Kopicz” z płyty „Ze strychu… Z Szuflady… Z Piwnicy…”**

Słowa –  Mariusz Mecka (filmowy dr Józef Kopicz)

Muzyka – Sławomir Kubkowski

Wokal – Adam Biernat

Gitara- Bartosz Gołębiowski

Gitara basowa – Karol Gołębiowski

Gitara, perkusja – Sławomir Kubkowski



Rodzice: Agnieszka z Danielewiczów i Rudolf Koppitzsch, chłopcy: w środku Józef Marceli Kopicz, z lewej Jan Kopicz, dziewczynki, od lewej lewej Anna później Sokołowska, Maria, primo voto Zdanowicz, secundo voto Kleinert, na dole siedzi Gertruda, później Berszakiewicz, fot. archiwum rodzinne.

**Józef Marceli Kopicz** urodził się 31 stycznia 1902 r. w Lidzbarku Welskim, jako syn Rudolfa Koppitzscha i Agnieszki Danielewicz herbu Ostoja. Był wnukiem Powstańca Styczniowego, Józefa Danielewicza, przybyłego po upadku Powstania z Litwy do Prus Wschodnich. Miał brata Jana i siostry: Marię, Annę i Gertrudę. Dzieciństwo spędził w Lidzbarku Welskim. Jako nastolatek, w latach 1918-19 należał do

organizacji wojskowej – Straży Ludowej w Brodnicy. Ukończył wydział lekarski na Uniwersytecie Poznańskim. Uzyskał tytuł doktora medycyny ogólnej i odebrał dyplom 23 grudnia 1925 roku z rąk rektora Uniwersytetu, prof. Antoniego Jurasza. W latach 1925 -1928 roku pełnił funkcję ordynatora Krajowego Zakładu Psychiatrycznego w Świeciu. W 1928 roku przyjął propozycję starosty pomorskiego i podjął pracę na oddziale psychiatrycznym szpitala w Wejherowie. Fascynował się psychiatrią, wciąż poszerzał swoją wiedzę, był też autorem publikacji na temat chorób psychicznych i metod ich leczenia. Zwrócił więc na siebie uwagę doktora Stanisława Kryzana – dyrektora zakładu psychiatrycznego w Kocborowie. Po likwidacji szpitala w Wejherowie dyrektor Kryzan zatrudnił Józefa Kopicza jako swojego zastępcę. W 1933 roku Józef Kopicz objął stanowisko prymariusza w Kocborowie. Przyjechał z żoną Haliną (z domu Szybowicz) i urodzonym w Wejherowie synem Adamem. W 1934 roku w Kocborowie przyszła na świat córka Ewa. Doktor Kopicz oprócz pełnienia funkcji dyrektora do spraw medycznych pracował też na oddziałach VII i XIX. Jego publikacje wskazują na to, że zajmował się psychozami z kręgu schizofrenii oraz psychozami o podłożu zaburzeń somatycznych. Stanowczo sprzeciwiał się eugenice, Zachowały się też jego publikacje z Tadeuszem Bilikiewiczem – ojcem polskiej psychiatrii.

W sierpniu 1939 roku Halina Kopicz wraz z dziećmi wyjechała na wakacje, Józef Kopicz natomiast zgłosił się do mobilizacji. Nie

został jednak wcielony do armii, więc dołączył do rodziny. Po wybuchu wojny wszyscy udali się do Wolsztyna koło Poznania, gdzie mieszkała rodzina żony. Nowa dyrekcja zakładu psychiatrycznego w Kocborowie wydała rozporządzenie wzywające Polaków przebywających poza terenem szpitala, aby zgłosili się do pracy. Józef Kopicz, mimo ostrzeżeń, postanowił wrócić do swoich pacjentów. 15 października zgłosił się do biura, skąd skierowano go na pierwsze piętro do SS- Obersturmführera Karla Braunschweiga. Został aresztowany. Przez dobę trzymano go w budynku dyrekcji i poddawano torturom. Wieszano go za związane z tyłu ręce na haku i bito pasami koalicyjnymi, zakończonymi karabińczykami. Kiedy torturowany tracił przytomność cucono go lejąc na niego wodę. Potem trafił do więzienia w Starogardzie Gdańskim. 17 października 1939 został zamordowany wraz z pacjentami w Lesie Szpęgawskim. Jeden z pacjentów, któremu udało się uciec opowiedział po wojnie, że dr Kopicz stał spokojnie nad dołem, który miał stać się grobem, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Nie próbował ucieczki, został ze swoimi pacjentami do końca.

Córka Józefa Kopicza – Ewa Kopicz-Kamińska (1934-2014) poszła w ślady ojca i została lekarzem psychiatrą. Jej życie było hołdem oddanym ojcu. Tradycję lekarską podjął też syn brata Jana, Marek Koppicz – wybitny kardiolog ze Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie.

*Joanna Sokołowska-Gwizdka*

**O doktorze Józefie Kopiczu i Akcji T4:**

https://www.cultureave.com/oddzial-podrozy-do-nieba/